

Rzeź nad rzeźniami

Ponowne zjednoczenie Korei, reż. Łukasz Witt-Michałowski, Scena Prapremier InVitro

DOMINIK GAC

AA



Ponowne zjednoczenie Korei, reż. Łukasz Witt-Michałowski, fot. Natalia Wierzbicka

Łukasz Witt-Michałowski proponuje pewną przewrotnę w stosunku do tego, co obecnie w polskim teatrze najgłośniejsze. W Ponownym zjednoczeniu Korei polityka to tylko metafora. Refleksji poddany jest człowiek w banalnej i jednocześnie skomplikowanej konfrontacji z czymś, co zwykliśmy nazywać miłością.

Dramat Joëla Pommerata złożony jest z osiemnastu krótkich historii, w których wiwisekcji poddawane są różne formy miłości. Tworzą one kalejdoskop zdrad, rozczarowań, nieszczęść i emocjonalnych patologii. W Ponownym zjednoczeniu... skorzystano z jedenastu epizodów. W ich świetle miłość jest niby zimny płat mięsa. Podzielona na sztuki wisi na hakach trzymanyh przez łańcuchy. Srebrne ogniwa lśnią jak narzędzia w prosektorium. Krew już ściekła. Rozbiór tej emocjonalno-psychologicznej tuszy odsłania jej prozaiczną i banalną strukturę. Wydaje się, że miłość to temat dla teatralnego patologa średnio zajmujący. Tymczasem szef Sceny Prapremier InVitro stawia na życie – kumuluje emocje, konsekwentnie podnosząc temperaturę przedstawienia. Począwszy od pierwszej sceny, w której powieszona na sznurze metalowa rzeźba spada spod sufitu, każda kolejna sprawia, że podnosi się słupek rtęci, wskazówka zachodzi na czerwone pole...

W tym tkwi największy problem Ponownego zjednoczenia Korei. Można odnieść wrażenie, że artyści chcieli za dużo i za bardzo. Najmocniejsze momenty spektaklu, takie jak chociażby rozmowa męża (Robert Zawadzki) z przebywającą w zamkniętym ośrodku, tracącą pamięć żoną (Ewa Pająk), nie mają gdzie wybrzmieć przyciśnięte przez kolejną etiudę. Kompresja emocji i wrażeń powoduje ich inflację – wszystko staje się beznamiętne. Obserwujemy pewien dobrze zaplanowany proces – trochę jak w rzeźni. Epizody wieńczy ponury rzeźnik-żniwiarz (w tej roli sam reżyser). Przechadza się po scenie półnagi w skórzanym fartuchu i demonicznym makijażu. Jest jedyną figurą spoza prozy życia, przybywa skądś z krainy groteski. Jest trochę jak model wypuszczony na białą wybieg, trochę jak inżynier kontrolujący działanie taśmy produkcyjnej. Frymuśnie podskakując, porusza się pomiędzy dwoma rzędami krzesel ustawionych wzdłuż ścian. Niestandardowe usadzenie publiczności wynika z przearanżowania Sali Widowiskowej lubelskiego Centrum Kultury. Scena rozpostarta jest na całej niemal jej długości – sięga rzędów standardowej widowni, gdzie poza aktorami zainstalowali się również muzycy i oświetleniowiec.

W interludiach między etiudami rzeźnik zbiera pozostawione w różnych miejscach sali rzeźby, symbolizujące bohaterów. Zespawane rurki tworzą kontury postaci, pustkę, brak. Są ledwie szkicem – niedostępne im metafizyczne wyrażenie Eliottowskich chochołów. Są martwe. Oderwane od życia znajdują miejsce na czerwonych hakach wiszących u końca sceny-taśmy. Chciałoby się ten produkcyjny sznyt odrzucić i wpuścić nieco szaleństwa. Niechby oczy załala czerwona jucha zsyłająca ciemność. Chciałoby się nie rzeźni, a rzezi z jej nieprzewidywalnością i chaosem. Przedstawienie ma na to zbyt sztywny gorset. Mimo to udaje się podkreślić ostatni dialog. Upośledzona umysłowo aktorka (Agnieszka Kmieć) gra pensjonariuszkę ośrodka specjalnego. Kobieta jest w ciąży i sprzeciwia się opiekunowi/lekarzowi (Wojciech Rusin), który namawia ją na aborcję. Chce urodzić dziecko, ponieważ kocha ojca. Tym razem mamy chwilę, żeby pomyśleć o tym, czy miłość jest jakimkolwiek usprawiedliwieniem. Często bywa oskarżeniem. Nie tylko w przypadku zdrady. Podejrzany o pedofilię nauczyciel (Robert Zawadzki) staje się obrońcą porządku świata – uczy oskarżających go rodziców (Jarosław Tomica, Ilona Zgiet), czym powinno być uczucie do dziecka. Ta ucieczka od stereotypowych figur oskarżyciela i oskarżonego nie zmienia faktu, że całość jawi się jako mało odkrywczy kalejdoskop uczuciowych klęsk. Ów zarzut latwo zbić, samo życie też jest mało odkrywcze. A jeśli – jak mówiła ostatnio Dorota Buchwald – teatr to jest świat na próbę, to i takie scenariusze trzeba przerobić. Szkoda tylko, że czasami materiał dydaktyczny pozostawia sporo do życzenia – jak w przypadku etiudy z tajemniczym nieznanym (Wojciech Rusin) na podobieństwo ducha niszczącym terazniejsze szczęście za pomocą przeszłości. Spektakl zbliża się wtedy niebezpiecznie do taniego melodramatu. Na drugim biegunie efektywności znaleźć można scenę masochistycznego seksu, gdzie nadzy aktorzy wiją się w stroboskopowym świetle. Ani to specjalnie mocne, ani estetycznie frapujące. Nie zmienia to faktu, że Ponowne zjednoczenie... to spektakl wizualnie przemyślany i zreczenie zakomponowany. W konfrontacji z dzisiejszym teatrem post-dramatycznym może się, co prawda, wydawać nazbyt schematyczny, ale to akurat żadna wada.

Sięgnięcie po utwór Pommerata można odczytać jako zaspokajanie potrzeby rzetelnego dramatu, wolnego od post-dramatycznej dezynwoltury, gwarantującego jednocześnie świeżość niedostępną klasyce (realizacja Sceny Prapremier InVitro jest drugą w kraju adaptacją sztuki; pierwsze było Zjednoczenie dwóch Korei wystawione przed dwoma laty w gnieźnieńskim Teatrze im. Aleksandra Fredry). Jest to strategia charakterystyczna dla Witta-Michałowskiego. Pommerat daje szansę na teatr skoncentrowany na bohaterze – tak naprawdę jest to jeden człowiek rozszczępiony na rozmaite warianty. W tym sensie jest to teatr krytyczny, nie ma jednak nic wspólnego z nurtem, który przywykliśmy tak nazywać. Ponowne zjednoczenie... obrazuje klęskę konserwatywnego światopoglądu. Jest on zbyt słaby, aby mierzyć się z dzisiejszą rzeczywistością. Nie ma nadziei na zjednoczenie. Nie daje jej instytucja małżeństwa, nie wystarcza zgodność charakterów, wspólne dzieci i stabilność. Bezsilna jest również religia. Ksiądz (Robert Zawadzki) korzystający z usług specjalizującej się w sado-maso prostytutki (Ilona Zgiet) staje w obliczu zazdroznego Boga, który mógł tolerować jedną zdradę, ale odejście do następnej kobiety jest już ponad miarę. Ładacznica zamienia się w Marię Magdalenę. Brak miłości zawsze kończy się rozpadem, bywa, że w jej miejscu rodzi się zemsta zwana też pokutą.

„W rzeźni jak to w rzeźni czas wątpliwości szybko mija” – brzmi refren jednej z piosenek Dezertera. W spektaklu wątpliwości nieustannie się mnożą, tak jakby wątpliwość była drugim imieniem miłości. Być może dlatego muzyczna strona przedstawienia daleka jest od punkowej bezwzględności. Przerwy między kolejnymi epizodami wypełniają melancholijne partie gitarowego duetu. Ta anty-pieśń nad pieśniami, utrzymana w atmosferze rodem z płyt amerykańskich songwriterów pokroju Nicka Cave’a, gestynuje dopiero w finale przedstawienia, gdy reżyser śpiewa Waiting for the Miracle Leonarda Cohena. Cudów nie ma, nadziei zresztą też. Z rzeczy przyziemnych brakuje przede wszystkim humoru. Niejednokrotnie zżynam się na prześmiewczość spektakli traktujących o imponderabiliach, ale Witt-Michałowski potrafi te rzeczy łączyć. Zrobił tak w poprzedniej propozycji repertuarowej Sceny Prapremier InVitro – Tata ma kota (albo Poczytaj mi tato), gdzie opowieść na równie poważny temat cierpła od śmiechu.

W innym utworze Cohen śpiewał: „O! take me to the slaughterhouse, I will wait there with the lamb”. Czy zostaje nam cokolwiek poza czekaniem? Niewiele. Jakimś wyjściem są gorzkie rojenia. Nieświadoma sytuacji kobieta (Matylda Damięcka) stoi w piwnicznym mroku. Nad jej głową kołysze się wisielec – kontur człowieka symbolizujący jej byłego męża. Sprzątaczk (Ewa Pająk, Ilona Zgiet) na drugim końcu sceny drżą z przejęcia, boją się, że kobieta podniesie wzrok albo że awaria zasilania zostanie naprawiona i piwnicę zaleje blask jarzeniówek. Dobrze, że tak się nie dzieje. Istnieje ryzyko, że śmierć ukochanego nie będzie przeszkodą dla dalszych rojeń. Nie chcemy być w sytuacji opiekunki do dzieci (ponownie Damięcka) wykorzystywanej do prywatnego performansu, w którym mąż (Jarosław Tomica) i żona (Ilona Zgiet) udają, że nie są bezdzietni. Nie chcemy być w żadnej ze scen prezentowanych w przedstawieniu, choć prawdopodobnie wszyscy w którejś z nich byliśmy lub będziemy. Być może dlatego nie robią one tak wielkiego wrażenia, jak można było oczekiwać. W swojej ekstremalności są powszednie jak wędliny na sklepowych półkach. Taka szynka na przykład – swojska, rumiana – nie przypomina ani truchła, ani rzeźni.

07-04-2017

GALERIA ZDJĘĆ

PONOWNE ZJEDNOCZENIE KOREI, REŻ. ŁUKASZ WITT-MICHAŁOWSKI, SCENA PRAPREMIER INVITRO



ZOBACZ WIĘCEJ



Scena Prapremier InVitro, Centrum Kultury w Lublinie
Joël Pommerat
Ponowne zjednoczenie Korei
reżyseria: Łukasz Witt-Michałowski
tłumaczenie: Mariola Odzimekowska, Łukasz Gajdzis
muzyka: Maciej Drzymala, Tomasz Kraśkiewicz
reżyseria światel: Marcin Kowalczuk, Grzegorz Polak
obsada: Matylda Damięcka, Agnieszka Kmieć, Ewa Pająk, Wojciech Rusin, Jarosław Tomica, Robert Zawadzki, Ilona Zgiet
premiera: 26.03.2017

TAGI: Joël Pommerat, Łukasz Witt-Michałowski, Lublin, Scena Prapremier InVitro,

Udostępnij

SKOMENTUJ

Autor

lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:
dwa plus trzy jako liczbę:



KOMENTARZE (0)

POWIĄZANE TEATRY

Scena Prapremier InVitro

PRZECZYTAJ TEŻ

Dominik Gac
Och!

Dominik Gac
Widowisko

Dominik Gac
Dama papierosowa

Dominik Gac
Intoksykacja, zapraszam

Dominik Gac
Brak apetytu i w ogóle

KALENDARIUM

26 VII 2024
Festiwal Szekspirowski XXVIII edycja

BĄDŹ NABIEŻĄCO

